



Fot. Fundacja Warszawa 1939.pl

Na gruzach getta (zdjęcie z 1945 r.) powstało osiedle Muranów (fotografia Zbyszka Siemaszki z 1959 r.)



58

Fotograf STOLICY

Tatiana Hardej

Mówimy: „fotograf »Stolicy«”, myślimy: „Zbyszko Siemaszko”. Zza zdjęć rzadko jednak widać ich autora – syna Leonarda (fotografa), ojca Macieja (fotografa), dziadka Filipa (tak, tak, fotografa). Co pojawia się w obiektywie kolejnych pokoleń Siemaszków?

My z kniaziów! – mówi Maciej Siemaszko. – Nad Słuczą na Ukrainie do tej pory są ruiny zamku Siemaszków. Jak do dziadków na święta zjeżdżała się cała rodzina, to tam było ze 30 osób.

Pierwszym fotografem był Leonard. Wyruszył z pogrążonego w kryzysie Wilna do Moskwy, by tam uczyć się od najlepszych – i zarobić. – W parku postawił hotel – opowiada jego wnuk Maciej. – Jak przechodził jakiś wojskowy, proponował mu zdjęcie. I chyba szło mu nieźle, bo ze stolicy Rosji przywiózł kuferek rubli i żonę Tatianę.

Pieniądze momentalnie się zdewaluowały, Leonard odkupił jednak dobrze prosperujący zakład fotograficzny Fleury'ego w centrum Wilna. Przed jego obiektywem stawali najwięksi tamtych czasów: Piłsudski, Raczkiewicz, Mościcki, ówczesne elity. Nic więc dziwnego, że urodzony w 1925 r. Zbyszko został fotografem. Dziwne jedynie, że z trzech braci taki zawód wybrał tylko on.



Hotel Grand przy skrzyżowaniu Kruczej i Hożej, 1962 r.



Teren budowy Ściany Wschodniej przy ulicy Marszałkowskiej, 1964-1966



Ulica Marszałkowska widziana z hotelu MDM, 1955-1957



Neon baru Praha w Alejach Jerozolimskich, 1961-1964

Zdjęcia: Z. Siemaszko

59

Sześć godzin na dachu

– Ojciec miał bardzo ciekawe życie – przyznaje Maciej Siemaszko. – I bardzo pracowite. Był zapalonym fotografikiem, miał to „coś”, ten artyzm. Ciągle chodził z aparatem. Nie było tak, że jechał na zlecenie i robił to, co mu kazali. On się z aparatem w ogóle nie rozstawał.

O tym, że będzie fotografował Warszawę, trochę chyba zdecydował przypadek. Rodzina Siemaszków z Wilna przez Bydgoszcz i Katowice trafiła do stolicy. Tu dziadek odkupił zakład przy placu Narutowicza od fotografek, pań Tadzikowych. – Tyle że dziadek kupił ten zakład z lokatorką – kontynuuje Maciej. – W jednym pomieszczeniu było wszystko, i sklep, i ciemnia, i atelier, a drugie zajmowała babcia Tadzikowa. Jak klient przychodził, to muchy mu na nosie siadały, bo tam ani wody nie było, ani warunków do życia.

Tymczasem Zbyszko znalazł zatrudnienie w firmach zaangażowanych w odbudowę Warszawy. Na kliszy dokumentował ruiny i nowo powstające budynki. Do „Stolicy” trafił więc już jako fotograf „od architektury”. – Te jego zdjęcia nie są przypadkowe – mówi Maciej Siemaszko. – Jak ustawiał aparat, to ja się zastanawiałem, dlaczego on się tak długo z tym bawi. A dla niego wszyst-

ko było ważne. Potrafił wyczekać na te pięć minut. – Ojciec siedział czasem sześć godzin na dachu, żeby jedno dobre zdjęcie zrobić – dodaje Jola Siemaszko, żona Macieja. – Żeby słońce wyszło albo żeby gołąb akurat przefruwał. Potem ze stu wybierał jedno, ale to było ujęcie idealne.

Z każdej strony Warszawa

– Jego styl poznam wszędzie – przyznaje Maciej Siemaszko. – Na tych zdjęciach coś się dzieje. O wschodzie słońca też można fotografować ulice, ale jemu nie chodziło o sam „obiekt”. Jak robił zdjęcie kościoła, to pstryknął z autobusu, przez szybę i jeszcze z kierowcą.

Kto obejrzy publikowane w „Stolicy” zdjęcia, wie wszystko o Warszawie od lat 50. do 80. XX wieku. Zbyszko Siemaszko bywał w urzędach, hutach, biurach, szkołach, na plażach, działkach i basenach, chodził na msze i pochody, uczestniczył w uroczystościach patriotycznych i partyjnych. W jego obiektywie równie naturalnie wyglądały monumentalne budowle socjalizmu, jak i przekupki na bazarze. Jeśli działo się w mieście coś ważnego, na pewno był tam Zbyszko Siemaszko. Jeśli akurat nic się nie działo, chodził po stolicy i szukał własnych pomysłów. – Lubił być w środku



Maciej i Zbyszko Siemaszkowie

zdarzeń – opowiada jego syn. – Jak fotografował sploty flisaków, dwa dni spędził z nimi na tratwach. Miał niesamowitą charyzmę, jak już coś zaczynał, to nie odpuszczał.

Zbyszko Siemaszko często patrzył przez obiektyw z perspektywy „zwykłego człowieka”, ale jeszcze większą frajdę sprawiało mu fotografowanie z góry. Nie tylko zresztą Warszawy – z pokładu samolotu obejrzał niemal całą Polskę. – Ojciec to był kozak, w ogóle się nie bał – opowiada Maciej. – Jak w 1991 r. dokumentowaliśmy Światowe Dni Młodzieży w Częstochowie, to ja od tamtej pory do samolotu nie wsiadłem. Dostaliśmy warunkową zgodę na start, bo był silny wiatr. Tym samolotem tak rzucało, że co chwila głową waliłem w sufit. Jak wylądowaliśmy, pilot był zielononiebieski ze strachu. A ojciec poklepał go po ramieniu i mówi: „No, fajnie się latało!”. Fantazji mu nie brakowało nigdy.

Poza ciemnią

– Myślę, że ojciec by się teraz zgubił w Warszawie – przyznaje Maciej Siemaszko. – Nie wiedziałby, do czego się brać, bo jest tyle do sfotografowania! A praca była dla niego prawdziwą pasją. Przychodził do domu i od razu wchodził do ciemni. Po prostu znikał.

Niemal 90-letni obecnie Zbyszko był niegdyś niezwykle towarzyski. Domowe archiwum obejmuje setki portretów robionych podczas spotkań z kolegami. A że dla człowieka takiego jak on jedna pasja to za mało, poza fotografowaniem uwielbiał polowania. Podobno w kole w Zalesiu Dolnym jako jeden z dwóch myśliwych wykonywał plan odstrzału dzików. No i był zakochany w marce Renault. – Wszyscy syrenkami jeździli, a on dofiń [Renault Dauphine]. 130 miała na liczniku i tyle też wyciągała.

Maciej Siemaszko przejął zakład fotograficzny na Ochocie bezpośrednio od dziadka Leonarda. – Dziadek miał taki charakter jak ojciec – wspomina. – Był łagodny, nie darł się, nie krzychał. To mama czasami ze ścierką bie-

gała za nami. Zresztą ona nas miała na głowie, bo ojciec był ciągle w pracy. Dzięki dziadkowi też zaczęliśmy robić zdjęcia, bo dostaliśmy z bratem jakieś stare aparaty, no i kombinowaliśmy. Trochę się nimi fotografowało, trochę gwoździe wbijało, ale już jakiś sprzęt w rękę mieliśmy.

Pierwszy i ostatni fotoreportaż drugiego syna Zbyszka Siemaszki ukazał się pośmiertnie w czasopiśmie „Architektura” – Marek, dobrze zapowiadający się fotograf, zginął w wypadku w wieku 21 lat.

Ciąg dalszy nastąpi

– Ja jestem zwykłym rzemieślnikiem – mówi o sobie Maciej Siemaszko. – Ale też parę zdjęć mi się w życiu udało. Najbardziej lubię te, które robiłem razem z ojcem. Żeby zrealizować nasz album „Jasnogórska Hetmanka”, przez dwa tygodnie mieszkaliśmy w Częstochowie w celach mnichów. Dechę się spuszczało na łańcuchu, siennik się kładło i spało tak jak oni.

Nie byłoby pewnie najbardziej znanego z Siemaszków, Zbyszka, gdyby nie Leonard, no i jego żona Tatiana. – Wszędzie jest napisane, że jak ojciec miał 16 lat, to dostał od dziadka leicę i fotografował kolegów z III Brygady AK. Ale nigdzie nie jest napisane, że w trakcie przygotowań do odbicia przez Polaków Wilna ojciec na przepustce bez żadnego rozkazu porwał niemiecką ciężarówkę. Podczas ucieczki dostał kulę, Niemcy go dopadli i zabrali do szpitala. Jak się o tym dowiedziała babcia Tatiana, zebrała kilku partyzantów, wynajęła najlepszą dorożkę wileńską z najszybszymi końmi. Pojechali do szpitala, sterroryzowali personel i odbili półprzytomnego ojca. Tylko dlatego żyje.

Nie byłoby Macieja i jego zakładu, gdyby ojciec nie zabierał go na fotograficzne eskapady, nie przyprowadzał jako dzieciaka do „Stolicy”, nie zapoznawał z najlepszymi – Januszem Smogorzewskim, Jackiem Sielskim, Edmundem Kupieckim. Co będzie dalej? – Mój syn Filip – ma nadzieję Maciej Siemaszko. – On jest w cyfrową fotografię dużo bardziej wkręcony niż ja.

– Jutro wybieram się do ojca – dodaje po chwili. – Dam mu ten album ze zdjęciami z NAC. W domu jest jeszcze kilkadziesiąt pudeł negatywów, trzeba by usiąść, przejrzeć, poskanować... Może i dobrze, że ten album powstał? Ojciec lubi, jak się go odwiedza, pewnie się ucieszy... ←



„Warszawa Siemaszki.
Fotografie z Narodowego
Archiwum Cyfrowego”,
Narodowe Archiwum
Cyfrowe, Warszawa 2014